

Kafar Dixon37, Idzie życie

Kafar

Rok osiemdziesiąty czwarty, to dwunasty kwiecień,
odeszły wody kobiecie i na świat przyszło dziecko.
Nie kochane i nie chciane przez nikogo na tym świecie,
ojciec chłał, matka chłała, Michaś wychowany w biedzie.
Siódme urodziny spędzał jak zwykle u babci,
wołał to niż awantury u ojca i matki.
Wolał to niż miasto, wołał to niż bloki,
i w wieku lat siedmiu miał powiedzieć dosyć.
Ojciec najebany ledwo się po niego wtoczył,
babci po raz setny łzy zalały oczy.
Jak jej własny syn, może im to robić,
młody nie pamiętał nic oprócz błysku kosy.

Michrus

Jak za młodu się napatrzył, patrzył na świat wrogo,
nie było kolorowo, nie szedł właściwą drogą.
Podstawówka szkoła i rówieśnicy wokół,
coś tam komuś podpierdolił, nie było wyroku.
W wieku lat dziesięciu miał już kuratora,
na bok poszła szkoła, był już znany w swoich stronach.
Psychika mu padła gdy od wody ojciec skonał,
ośrodek dla nieletnich w jego życiu to już norma.
Poznał w jednym z nich, takiego jak on gościa,
Michał i Robercik ich spółą była prosta.
Pół na pół z roboty, co by się nie działo,
trzymać język za zębami, choć to wczasy skrócić miało.

Saful

Niby spółą, wszystko do wspólnego gara, chwila,
wkrótce Michał odkrył ile warta jest ta przyjaźń.
Zupełnie przypadkiem coś usłyszał i podpatrzył,
jak Robercik zdaje pełny raport wychowawcy.
Znow ktoś bliski zwrócił się przeciw niemu,
nienawiść do świata osiągnęła apogeum.
Stwierdził, jebać ludzi, zawsze będę sam,
W tym momencie w jego głowie zrodził się zemsty plan.
Nagrał cichą famę o depresji przyjaciela,
plotka bardzo łatwo w ośrodku się przyjęła.
Aż pewnej nocy Michał oddał pokłon diabłu
i Roberta podczas snu powiesił na kablu.

Rest

Nie wyszło to na jaw i strzeliła mu szesnastka,
Michciu wyskakuje, trafia prosto w szpony miasta.
Nie miał dokąd wracać, żal czuł też do matki,
chciał jedynie podziękować za opiekę babci.
Ruszył więc na rejon tam gdzie miała swoje lokum,
pod trzydzieści siedem dzwoniąc, nagle stanął w szoku.
Zobaczył sam siebie, kilka lat młodszego,
jak pijany ojciec bije syna lecząc swoje ego.
Obrazy z dzieciństwa, wróciły w dwie sekundy,
Michciu nic nie myśląc wbił kolejny gwóźdź do trumny.
Najebał więc typa złości w sobie nie chciał dusić,
uciekł z miejsca szybko bo w tle słyszał już koguty.

Kafar

Swoje zakrwawione ręce znów wytarł w koszulę,
nie szanował życia za pan brat z ostrym bólem.

Nie szanował nic, ale coś zaczęło pękać,
gdy zamykał oczy widział twarz tego dziecka.
Kiedy je otwierał, ciało swej ofiary
i tak z dnia na dzień styki mu się przepalały.
I tak z dnia na dzień Michciu chodził wytrzepany,
ani wóda, ani prochy mu nie pomagały.
Kiedy włączył tv i zobaczył info,
rodzinę ofiary zapłakaną nad modlitwą.
Wiedział, nie wytrzyma i otworzył okiennice
i to smutne szare życie rozbił o ulice.